

A · D · A · M ·  
P R Z E C H R Z T A



fabryka słów  
WARSZAWA



GAMBIT  
WIELOPOLSKIEGO

# I

· R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·



Pociąg do Orenburga miał opóźnienie, ale Czachowski przypuszczał, że zostanie ono zniwelowane na trasie. Przy szybkości pięćuset wiorst na godzinę kilkunastominutowy poślizg nie miał większego znaczenia. A na dworcu powinien już czekać transport do Małej Taganki. Taganka... Niewielka stacja tuż na granicy z komunistycznymi Chinami. Oficer westchnął, przypomniawszy sobie, że mija właśnie trzeci dzień jego urlopu. Jednak nie mógł przecież odmówić prośbie generała Mierkułowa, Borysa Władysławowicza, wujka Borii.

Czachowski rozparł się wygodnie. Przedział był niemal pusty, poza nim zajmowała go jedynie podrzemująca przy oknie młoda dziewczyna i również przysypiający niewysoki, czarniawy porucznik piechoty.

Skinął uprzejmie głową w odpowiedzi na salut przechodzącego korytarzem pułkownika huzarów – zgodnie

z niepisany prawem nawet starsi stopniem pierwsi od dawali honory, widząc mundur osobistej gwardii cara. Sobstwiennyj Jego Impieratorskiego Wieliczesstwa Konwoj był legendą. Od czasu oblężenia Sewastopola żołnierze Konwoja mieli pierwszeństwo w żołnierskich knajpach, na balach i w burdelach. I przyjmowali honory od starszych nawet o trzy rangi.

– Panowie oficerowie! – podał komendę porucznik, stając na baczność.

Czachowski nie zareagował. Do przedziału wszedł rosły mężczyzna w mundurze majora żandarmerii. Zmierzył ostrym spojrzeniem porucznika, bo komenda nie była zbyt entuzjastyczna i padła z parusekundowym opóźnieniem; mało kto lubił żandarmów. Po chwili przeniósł wzrok na Czachowskiego.

– Dokumenty poproszę! – warknął, piorunując wzrokiem oficera.

Wolno, z wykalkulowaną na zimno dezynwolturą Polak sięgnął po przepustkę.

– Pańskie szewrony! – Major wskazał palcem.

– Coś nie tak? – zdziwił się obłudnie Czachowski.

Rzecz jasna, wszystko było nie tak – naszywki umieszczono do góry nogami i poniżej łokcia, niczym u podoficera. Jedna z fanaberii, na jakie pozwalali sobie po Sewastopolu żołnierze Konwoja.

Żandarm poczerwieniał, zdawało się, że wybuchnie, ale po chwili jego spojrzenie prześliznęło się po baretkach Polaka. Po lewej stronie obrazującej wojskową karierę oficera „sałatki owocowej”, od strony serca, widać było jedno puste miejsce. Brakowało orderu „Za Sewastopol”, jednego z najważniejszych odznaczeń imperium.

Widomy znak, że krnąbrny sztabkapitan brał udział w drugiej wojnie krymskiej. Gwardziści nigdy nie nosili tego orderu – w imię pamięci po poległych towarzyszach.

Zza pleców żandarma wyjrzała zafrasowana twarz jednego z żołnierzy patrolu. Aresztować oficera gwardii za nieprzestrzeganie przepisów ubiorczych? Wolne żarty – nawet głównodowodzący, brat imperatora, wielki książę Aleks udawał, że nie widzi braków w umundurowaniu gwardzistów. I nie dziwota, to właśnie Sobstwiennyj Jego Impieratorskiego Wielicestwa Konwoj ocalił życie cara. Każdy dowódca garnizonu uwolni Polaka w ciągu kwadransa, a później weźmie się do nadgorliwych żandarmów.

Najwyraźniej major doszedł do tego samego wniosku, bo zgrzytnąwszy zębami, oddał Czachowskiemu dokumenty i bez słowa opuścił przedział.

– Panie kapitanie, przepraszam za te wrzaski – odezwał się ze skrucłą w głosie porucznik – ale wolałem, żeby ten dupek nie oglądał zbyt uważnie moich papierów. Ostatnio taki skur... – urwał gwałtownie, widząc, że drzemiąca pod oknem dziewczyna otwiera oczy. – Raczy pani wybaczyć, mademoiselle. – Zaczerwienił się gwałtownie.

Dziewczyna odpowiedziała pobłażliwym uśmiechem.

– Nic się nie stało – zapewniła.

Rozchyliła kosztowny skórzany płaszcz, ukazując przepasaną w talii świtkę i przypięty do pasa pistolet.

– Pochodzę z dońskich Kozaków – powiedziała. – Czasem jak tatko po wódce się rozhula, to nie takie rzeczy mówi...

– Gdzie pani jedzie? – zainteresował się Czachowski.

– Do siostry. Mieszkają z mężem w Małej Tagance.

– W garnizonie? To przecież przy samej granicy – zmarszczył brwi oficer.

– W garnizonie – przytaknęła. – Miejsce żony jest przy mężu – stwierdziła spokojnie.

Do czasu, pomyślał ponuro Czachowski. Do czasu.

– A pan? – spytała.

– Też jadę do Małej Taganki. Jeśli nie ma pani nic przeciwko wojskowemu transportowi, to mogę panią podrzucić na miejsce – zaproponował. – Dojedziemy wcześniej niż poduszkowcem pasażerskim.

Po chwili wahania dziewczyna przyjęła ofertę. Co prawda na pograniczu nie było najbezpieczniej i samotna kobieta musiała uważać, z kim się zadaje – rzecz nie do pomyślenia w centralnych prowincjach imperium – ale nawet najgorszy degenerat pomyślałby dwa razy, zanim zadarłby z Kozakami. W razie czego miałby szczęście, gdyby pierwsza dopadła go policja. Zresztą smukła jak brzołka dziewczyna bynajmniej nie sprawiała wrażenia bezbronnej. Wychowana w kozackiej stancy, zapewne potrafiłaby bez trudu dać do zrozumienia każdemu natrętowi, że jego zainteresowanie nie jest mile widziane.

Porucznik, wyciągnąwszy z plecaka gitarę, zwrócił się w stronę towarzyszki podróży, zaintonował starą kozacką balladę. Młoda kobieta zawtórowała mu czystym, wysokim głosem. Czachowski zmrużył oczy, ukołysany tęskną melodią i sykiem powietrza rozcinanego przez mknący na magnetycznej poduszce pociąg.

*Nie dla mienia pridiot wiesna...*

*Nie dla mienia Don razoljotsia*

*i sierzdce dziewicze zabjotsia  
s wastorgom czuwstw... Nie dla mienia.*

*Nie dla mienia cwietut sady,  
w dolinie roszcza rascwietajet.  
Tam sołowiej wiesnu wstrieuczajet...  
On budiet piet' nie dla mienia.*

*Nie dla mienia, nie dla mienia...  
Nie dla mienia, nie dla mienia...*

*Nie dla mienia kujut konia  
i wietier griwoju igraket.  
On bjot kopytom i nie znajet –  
Jego kujut nie dla mienia...*

Jakaś uparta, przekorna część umysłu na wpół śpiącego oficera tłumaczyła słowa na polski, pomimo że czynność ta była tyleż płonna, co absurdalna, bo Czachowski nie tylko mówił, ale i myślał po rosyjsku.

*Nie dla mnie wiosna nastanie...  
Nie dla mnie wyleje Don  
i serce dziewczęce z zachwytem  
zabije... Nie dla mnie.*

*Nie dla mnie kwitną drzewa,  
gaj w dolinie rozkwita.  
Tam słowik wiosnę wita,  
lecz nie dla mnie już śpiewa.*

*Nie dla mnie, nie dla mnie...*

*Nie dla mnie, nie dla mnie...*

*Nie dla mnie kują konia*

*i wiatr mu grzywę szarpie.*

*Biegłby mój rumak, lecz nie wie –*

*Że kują go już nie dla mnie...<sup>1)</sup>*



– Musi pan być kimś ważnym – stwierdziła dziewczyna, popatrując na niego z ciekawością.

– Ja? – zdziwił się szczerze Czachowski. – Skąd pani to wnosi?

Oficer umieścił już bagaż współpasażerki w przedziale desantowym potężnego WKA-120 i zabrał się do przenoszenia własnych manatków. Nie żeby było ich wiele: worek zawierający kilka zmian odzieży i przybory toaletowe oraz walizka z bronią. Generał Mierkułow pozwolił mu zabrać własny sprzęt, ponieważ tereny graniczące z Chinami nie cieszyły się dobrą sławą.

– No przecież przysłali kabana – odparła prostodusznie, wskazując okazały pojazd. – Z eskortą.

Polak westchnął, bezradnie omiatając spojrzeniem drapieżne sylwetki dwóch wozów zwiadowczych flankujących transporter. Obowiązywał go – jak i wszystkich żołnierzy gwardii – stanowczy zakaz krytykowania członków rodziny panującej. Litery WKA pochodziły od słów „wielki książę Aleks”. Problem w tym, że żoł-

---

1 Tłum. Renata Miłosz i Adam Przechrzta.

nierze woleli używać mniej oficjalnej nazwy znakomitej skądinąd maszyny. Jakiś dowcipniś, i nie bez powodu, ochrzcił ją mianem wieprza. Cóż, Bogiem a prawdą rzeczywiście istniało pewne podobieństwo pomiędzy wyglądem transportera a zwalistą sylwetką wielkiego księcia. Żartowano, że niedługo do armii trafi kolejna wersja rozwojowa WKA, tym razem oznaczona liczbą 130, będącą odbiciem aktualnej wagi głównodowodzącego...

– Widział pan brata imperatora? Naprawdę jest taki gruby? – kontynuowała.

– Wielki księżę jest znakomitym tancerzem – odpowiedział z kamienną twarzą Czachowski.

Stanowczym gestem zaprosił dziewczynę do wnętrza pojazdu, sam usiadł przy panelu obserwatora – jeden z żołnierzy ustąpił mu miejsca. Ruszyli. Lekkie poduszki wyprysnęły naprzód, momentalnie otaczając się polem maskującym. Jedynie ledwie dostrzegalne drgania powietrza i uginająca się trawa – znajdujący się na przedmieściach Orenburga dworzec otoczony był starannie przystrzyżonymi gazonami – pozwalały prześledzić ich trasę. Kaban nie był taki szybki, a jego system kamuflażu zacierał tylko z grubsza kontury maszyny, ale wielowarstwowy pancierz i sześciolufowe działko Gaussa czyniły go śmiertelnie groźnym przeciwnikiem. Oficer nie czuł się szczególnie zagrożony, przebywał już w miejscach stokroć bardziej niebezpiecznych, stąd sądził, że przydzielona mu eskorta była raczej wyrazem troski o misję. Generał Mierkułow nie ukrywał powagi sytuacji; superkomputery z petersburskiego Centrum Symulacji Rzeczywistości wykryły kolejnego jokera, człowieka, którego działania mogły zmienić bieg historii. Ten był na pozór zwykłą blotką – używając



ulubionej przez ekspertów Centrum karcianej terminologii – ot, poruczniczyna w nadgranicznym garnizonie. Natomiast fakt, że uczestniczył aktywnie w działaniach tajnej organizacji o dźwięcznej nazwie „Śmierć Wielopolskiemu!”, dążącej do wyjaśnienia, dlaczego margrabiemu przyznano status bohatera imperium, nie był już taki zwyczajny. Wytypowany przez system człowiek był Polakiem, dlatego do wykonania misji wybrano właśnie Czachowskiego – także Polaka. I aktywistę uznawaną za terrorystyczną grupy „Niepodległa”. No dobrze, byłego aktywistę. Czachowski miał nadzieję, że dogada się z rodakiem, wiedział, że w przypadku niepowodzenia sprawa zostanie przekazana do odpowiedniego wydziału ochrony. I zamknięta. Definitywnie zamknięta.



Czachowski zapukał w niedbale pomalowane drzwi. Wnioskując z ich wyglądu, panienska Maria najwyraźniej nie cieszyła się jakimiś szczególnymi przywilejami, mimo że była siostrą żony dowódcy bazy, pułkownika Skopenki. A może po prostu nadgraniczna stacja nie dysponowała lepszymi apartamentami? W końcu nawet on sam, oficer gwardii, otrzymał do dyspozycji izdebkę, którą co najwyżej można było nazwać przyzwoitą.

Nie doczekawszy się odzewu, zastukał ponownie. Po chwili dziewczyna stanęła w drzwiach, wyraźnie starając się opanować przyspieszony oddech. Kunsztownie ułożone włosy i pociągnięte opalizującą pomadką usta wskazywały, że kilka ostatnich chwil spędziła przed lustrem.

– Mario Aleksandrowna. – Oficer skłonił się lekko.

– I cóż, kapitanie? Przyszedł pan zaprosić mnie na spacer, a może do kantyny? – Spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs.

– Ja...

– Siostra ostrzegła mnie przed gwardzistami. Podobno uwielbiacie bałamucić młode dziewczęta.

– Ale...

– No dobrze, możemy iść na spacer – poinformowała, kapryśnie wydymając wargi.

Czując się głupio jak rzadko kiedy, Czachowski cofnął się o krok.

– Z przyjemnością zaproponowałbym pani spacer, jednak... – zawiesił głos, bo nie bardzo wiedział, jak dokończyć zdanie.

Drobna, ale bynajmniej nie słaba dłoń złapała Czachowskiego za rękaw, obróciła lekkim szarpnięciem. Dziewczyna zabrała mu trzymany za plecami kombinezon i obejrzała z beznamiętnym wyrazem twarzy. Jeden ze szwów był rozpruty.

– A więc tak naprawdę potrzebował pan jedynie usług szwaczki?

Oficer z konsternacją uświadomił sobie, że na twarz wpęła mu rumieniec. Dawno niewidziany i raczej nieoczekiwany gość.

Roześmiała się pierwsza, w chwilę później zawtórował jej Czachowski. Przez kilka minut zaśmiewali się jak dzieci, nie mogąc opanować wesołości.

– No cóż – oznajmiła, kiedy otarła łzy – jeśli nie chce mnie pan bałamucić, to zaszyję panu ubranie.

– Będę wdzięczny – zapewnił Polak.

– Ale przecież ma pan taki ładny mundur?

– Nawet kilka. Jednak wolałbym, aby nie salutowano mi na każdym kroku – wyjaśnił. – Chcę pogadać z żołnierzami... nieoficjalnie.

– Nie umie pan szyć? Myślałam, że każdy żołnierz...

– Niech pani nie kopie leżącego – poprosił. – Sobstwiennyj Jego Impieratorskiego Wieliczeszwa Konwoj to dość specyficzna formacja. Służą tam tylko oficerowie i każdy z nas ma przynajmniej jednego ordynansa.

– Nigdy pan niczego nie zszywał?

– Dwa lata temu łątałem ranę koledze. Kiedy odzyskał przytomność, nie był zbyt zadowolony z moich umiejętności. Blizna wyglądała paskudnie.

– Myślałam, że wszyscy używają kleju tkankowego.

– Nie mieliśmy kleju – wymamrotał Czachowski. – Nie mieliśmy wielu rzeczy...

– Nie mieliście kleju? Przecież to standardowe wyposażenie każdego pakietu medycznego. Zaraz! Sewastopol! Pan był w Sewastopolu!

– Byłem – przyznał oficer, odwracając wzrok. – I proszę, nie rozmawiajmy o tym. – Powstrzymał ją gestem.

– A jednak nie jest pan takim bałamutem, jak przypuszczałam. Cóż łatwiejszego, niż emablować dziewczynę opowieściami o walkach w Sewastopolu?

– Żaden gwardzista nie będzie uwodził kobiet, wspominając walki w Sewastopolu – zapewnił głuchym głosem Czachowski. – Nigdy...

– Gotowe – poinformowała i odgryzła nitkę. – Jest pan żonaty? – zapytała zniecka.

– Już nie – odparł sucho. – I nie, nie powiem dla czego – oznajmił, widząc, że dziewczyna otwiera usta. – Dziękuję za kombinezon.

Na korytarzu dogonił go dźwięk gitary – grał któryś z żołnierzy. Dobór piosenki nie poprawił Czachowskiemu humoru.

*No a kobiety, te z żołnierskich snów,  
co robią, gdy nas w domu widzą znów?  
Witają nas, choć pragną uciec stąd,  
gdzie niewiernością cuchnie każdy kąt.*

*I znowu dudni krok, żołnierski krok,  
a górą jak szalony śmiga ptak.  
Na karkach swych czujemy kobiet wzrok.  
Czy wiecie, o czym myślą, patrząc tak?*



Porucznik Różycki – wysoki blondyn o ostrych, kanciąstych rysach twarzy, nie wyglądał na speszonego, mimo że wizyta oficera carskiej gwardii z pewnością nie była czymś zwyczajnym. Z drugiej strony na pograniczu nie zwracano specjalnej uwagi na konwenanse. Liczyło się przeżycie i niewiele więcej. Z rozmowy z pułkownikiem Skopenką wynikało, że tylko w ciągu ostatniego miesiąca jego ludzie odparli trzy rajdy rebeliantów z Nowego Xinjangu i zastrzelili chińskiego dywersanta.

Oparty łokciami o zwieńczenie stylizowanego na średniowieczny muru Różycki beztriosko ćmił papierosa, zapatrzonej w pulsujące poniżej, cicho brzęczące L-pole. Jak zauważył mimochodem Czachowski, wydychana przez porucznika substancja niespecjalnie przypominała ekologiczną parę wodną – zapewne wkład

elektronicznego papierosa został odpowiednio podrasowany. Zapach przypominał prawdziwy tytoń, a lekka, słodkawa nuta sugerowała domieszkę marihuany. Nic specjalnego w armii, nic szczególnego na pograniczu.

– O czym chciał pan porozmawiać, kapitanie? – rzucił wreszcie Różycki bez specjalnego zainteresowania w głosie.

– O panu – odparł spokojnie Czachowski. – Możemy też porozmawiać o Wielopolskim. Nawiasem mówiąc, nazwa „Śmierć Wielopolskiemu!” jest dość pretensjonalna, a i z punktu widzenia logiki nie za bardzo... W końcu margrabia zmarł pod koniec dziewiętnastego wieku.

Cisza trwała przez kilka uderzeń serca.

– Zapewne w tym momencie powinienem zemdleć z wrażenia? – spytał domyślnie Różycki.

Spokojnie wyłączył papierosa, opuścił ręce wzdłuż ciała. Teraz jego prawa dłoń znalazła się tuż przy rękojeści przypiętego na udzie bojowego noża i niewiele dalej od kolby pistoletu.

– Chciałem porozmawiać – zaznaczył z naciskiem Czachowski. – Nic więcej.

– A jeśli rozmowa nie przyniesie skutku, zajmie się mną...

– Kto inny – wpadł mu w słowo Czachowski. – To, niestety, jedyna opcja – powiedział. – Jest pan jokerem. Tak twierdzą ludzie z CSR – dorzucił wyjaśniająco.

– Chce pan apelować do mojego instynktu samozachowawczego?

– Chcę apelować do pańskiego rozsądku.

– Mam uwierzyć, że Wielopolski był tylko szefem rządu Królestwa Polskiego, jak podają oficjalne podręczniki? Chce mnie pan przekonać, że za okresem prosperi-

ty, jaki zapoczątkował w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim, nic się nie kryje?!

– Ależ kryje się, kryje...

– Nasi badacze ustalili... Tak, my też mamy komputery! – rzucił Różycki z przekąsem i kontynuował: – że Wielopolski powstrzymał nadchodzące powstanie, organizując brankę, nadzwyczajny pobór do wojska. I przeprowadził ją w niesłychanie brutalny sposób. A Polska już nigdy nie próbowała odzyskać niepodległości...

Czachowski bez słowa pokręcił głową.

– Niby dlaczego mam panu wierzyć?! Panu, pretorianinowi imperatora!

– Kłamstwo nie leży ani w moim charakterze, ani w interesie Jego Wysokości – odparł zimno kapitan. – Po prostu nie macie racji. Branka? Też mi sposób... Organizacje powstańcze miały swoich szpiegów wśród carskich urzędników, zresztą wielu z tych ostatnich było Polakami, właśnie dzięki Wielopolskiemu. To przecież on naciskał rosyjską administrację, aby przyznano większe prawa Polakom. Jest pan zawodowcem, naprawdę myśli pan, że masowy i imienny pobór do wojska, operację, było nie było, o ogromnym zasięgu, dałoby się w ówczesnych warunkach utrzymać w tajemnicy? Jak długo? A jak zareagowałiby ludzie wymienieni na liście? Ci, których miano przymusowo wziąć do armii?

Różycki milczał.

– Powstanie zaczęłoby się wcześniej, niż planowano, bo wszyscy proskrybowani daliby dyla do lasu! Ot, co przyniosłaby wasza branka!

– A więc co się stało? Co takiego zrobił Wielopolski, że myśl o powstaniu rozwiła się jak sen złoty, a sam

margrabia został bohaterem imperium? – zapytał cicho porucznik. – A może nie mam prawa tego wiedzieć? Bo przecież w każdym podręczniku można wyczytać, że uzasadnienie przyznania tytułu utajniono.

– Może pan pytać o wszystko i gwarantuję, że otrzyma pan odpowiedź – odparł zmęczonym tonem Czachowski. – Nie mam na myśli siebie, bo moja wiedza jest ograniczona, ale od dzisiaj przysługuje panu dostęp do Centrum.

– Pod warunkiem?

– Żadnych warunków. Oczywiście rozumie się, że albo wyjdzie pan z Centrum przekonany do idei wspierania monarchii, albo będzie pan martwy. Ale to już nie moja decyzja.

– Rozumie się – przytaknęła Różycki, ponownie włączając papierosa.

Wyglądało na to, że perspektywa gwałtownej śmierci niespecjalnie go poruszyła. Co było do przewidzenia – w rejonach przygranicznych toczyła się wojna, a nie urodził się jeszcze taki agent ochrony, który przewyższyłby rebeliantów w pomysłowości, jaką ci wykazywali, mordując schwytanych żołnierzy imperatora. Na pograniczu nikt, absolutnie nikt – od nastoletnich dziewcząt po starców – nie rozstawał się z bronią. Nigdy i pod żadnym pozorem. I wszyscy wiedzieli, że ostatni pocisk należy zachować dla siebie.

– No więc w imię czego Wielopolski zamienił ideę zwycięskiego powstania na służbę caratowi?

– Zwycięskiego powstania? – powtórzył urągliwie Czachowski. – Na litość boską, poruczniku... Aby powstanie zwyciężyło, musiałyby mieć szerokie poparcie w społeczeństwie. Tymczasem niemal nikt go nie chciał,

podobnie jak listopadowego. Trzeba było wreszcie sprawnej organizacji i współdziałania dowódców, a żaden z tych warunków nie został spełniony.

– Jeśli chodzi o tę ostatnią kwestię, ma pan na myśli powstanie listopadowe czy to późniejsze, niedoszące, bez nazwy? – spytał zjadliwie Różycki.

– Oba. – Sztabskapitan wzruszył ramionami. – Wie pan, co się stało, kiedy Rosjanie wykryli działalność spiskową w przededniu powstania listopadowego? Te wszystkie Towarzystwa Patriotyczne, Wolnomularstwa Narodowe i inne Panta Koiny? Otóż powołali Sąd Najwyższy Wojenny, uwaga, uwaga! złożony z samych Polaków. W jego skład weszli generałowie Hauke, Blumer, Kurnatowski oraz pułkownicy Bogusławski i Skrzynecki. Jak to zacne grono osądziło rodaków? Ano trzech podsądnych co prawda uniewinnili, ale już Łukasińskiego skazali na dziewięć lat ciężkiego więzienia, a Dobrogojskiego i Dobrzyckiego na sześć.

– Skrzynecki głosował przeciwko wyrokowi skazującemu!

– Owszem – przytaknął Czachowski. – Głosował. Bo przed podjęciem decyzji dał do zrozumienia działaczom Towarzystwa Patriotycznego, że „wypełni swój obowiązek jako Polak i jako sędzia”, ale potrzebuje natychmiast szesnaście tysięcy złotych na różne, jak to się wyraził, forszusa. I otrzymał te pieniądze.

Różycki zaciągnął się nerwowo, uderzył zaciśniętą pięścią w mur.

– Niemniej... – zaczął.

– Niemniej zwymyślany przez wielkiego księcia Konstantego, natychmiast wycofał swój sprzeciw. Ciekawi



pana, jak uzasadnił swoją postawę późniejszy wódz naczelny powstania? Otóż stwierdził, że „czuje w swym sumieniu”, że powinien swój głos połączyć z głosami pozostałych sędziów. No i połączył.

– Jednak masowe powstanie...

– Masowe powstanie? A któż miał robić to „masowe powstanie”? Ciemne i głupie chłopstwo, które nie za bardzo pojmowało, że istnieje coś, co można nazwać narodem polskim, a już zupełnie nie miało zamiaru bronić interesów owego narodu? Mieszczanstwo, które chciało jedynie spokojnie żyć i pracować, póki rewolucyjne nastroje nie podgrzały atmosfery? A może zajęta gospodarowaniem w swoich majątkach szlachta? Oficerowie? Wolne żarty! Niemal wszyscy byli przeciwko powstaniu, bądź to ze względu na wierność danej carowi przysiędze, bądź też dochodząc do wniosku, że walka z Rosją nie ma szans powodzenia. Albo jedno i drugie. Wielu z nich zginęło, usiłując powstrzymać coś, co postrzegali jako nieodpowiedzialną awanturę. Napotkawszy maszerujących przez miasto podchorążych, generał Hauke zapelował: „Idźcie do domów, dzieci”. „Dzieci” odpowiedziały salwą. Darzony przez wojsko ogromną sympatią generał Stanisław Potocki został najpierw kilkakrotnie poturbowany, a kiedy przemawiał do żołnierzy Trzeciego Pułku Piechoty Liniowej, ciężko postrzelony. Zmarł dzień później, rozpaczając, że „życie polska wydziera mu ręką”. Generał Ignacy Blumer poległ przy Arsenale, kiedy próbował powstrzymać kompanię Piątego Pułku Piechoty. Postrzelono go i pchnięto bagnetem. Zginął także rozmawiający z grupką powstańców generał Siemiątkowski. Tego do wystąpienia przeciwko powstaniu namawiał puł-

kownik, późniejszy generał i wódz naczelny Skrzynecki. Sam, a jakże! przeciwny listopadowemu zrywowi. Można by wymieniać długo – zakończył z westchnieniem Czachowski. – Tylko po co...?

Tym razem milczenie trwało dłużej niż poprzednio. Ciszę przerywał tylko suchy trzask ponownie zapalnego papierosa – najwyraźniej wkład nie był najlepszej jakości.

– A jednak minął się pan z prawdą – odezwał się wreszcie Różycki. – Pańska wiedza nie jest wcale tak ograniczona, jak pan sugerował.

– Mówi panu coś nazwa „Niepodległa”?

– Więc i o tym wiecie?

– Wiemy?

– No, ochrana i...

– Poruczniku – przerwał mu bezceremonialnie Czachowski – jeśli jeszcze raz zasugeruje pan, że mam coś wspólnego z jakąkolwiek instytucją czy formacją inną niż Sobstwiennyj Jego Impieratorskiego Wielicestwa Konwoj, wyślę panu sekundantów.

Kapitan mówił bez specjalnego nacisku, ale jego słowa miały ponury, metaliczny pogłos przypominający szczęk repetowanego staroświeckiego karabinu. Nie było w nich tonu pogroźki, ale Różycki i tak musiał poczuć ciarki wzdłuż kręgosłupa. Zapewne zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie był tak blisko śmierci.

– Przepraszam – wykrztusił porucznik.

– Byłem jedną z osób, które stworzyły Niepodległą – kontynuował po niedługiej przerwie Czachowski. – I brałem udział nie tylko w działaniach zmierzających do wyjaśnienia tajemnicy Wielopolskiego, ale i w zamachach.

– Dlaczego zmienił pan zdanie? Bo zmienił pan przecież?

– Zmieniłem – przyznał kapitan.

Sięgnął do kieszeni nieco nerwowym gestem, wyciągnął paczkę papierosów. Prawdziwych, nie elektronicznych.

– To nie jest nielegalne? – spytał z wahaniem w głosie Różycki.

– Papierosy? A tak, oczywiście.

Czachowski podsunął rozmówcy paczkę.

– Myślałem, że można je zobaczyć tylko na starych vidach – oznajmił podekscytowany Różycki. – One naprawdę są takie szkodliwe?

– Myślę, że dużo mniej niż marihuana...

Zapalili.

– Skąd pan to ma? Bo ani u nas, ani w Eurolandzie...

– Kaban je lubi – wyjaśnił Czachowski, wzruszając ramionami. – A ponieważ nie jest skąpy, dzieli się z Konwojem.

– Ma pan na myśli wielkiego księcia? Przecież nie wolno panu...

– Powiedzmy, że miałem na myśli bardziej pozytywne znaczenie tego słowa.

Porucznik odchrząknął dyplomatycznie – rzeczywiście termin „kaban” mógł oznaczać także dzika.

– Dlaczego zmienił pan poglądy? – wrócił do wcześniej zadanego pytania. – Czym pana przekonali, bo przecież nie zastraszyli?

– Rzecz jest prosta. – Czachowski wydmuchnął dym. – Po wizycie w Centrum doszedłem do wniosku, że wspieranie monarchii leży w najlepszym interesie wszystkich Polaków. Dlatego też wstąpiłem do gwardii.

– Przyjęli pana? Z pańską... przeszłością?  
– Centrum za mnie poręczyło. Tych maszyn nie można oszukać. No a przynajmniej nikomu się dotąd nie udało...

– Naprawdę? Mam uwierzyć, że ich prognozy zawsze się sprawdzają? Na podstawie jakichś tam analiz mam nagle zacząć pomagać komuś, kogo do tej pory uważałem za największego wroga swojego narodu?

Czachowski parsknął śmiechem.

– Proszę wybaczyć moją niewczesną wesołość, poruczniku, ale przypomina mi pan mnie samego cztery lata temu – wyjaśnił przeprasającym tonem. – Ja także zadawałem sobie takie pytania.

– I co?

– Przede wszystkim to nie są „jakieś tam analizy” – powiedział Czachowski już poważnie. – Słyszał pan o śladach biologicznych?

– Jeśli to wiedza ze szkoły oficerskiej, to chyba nie uważałem na zajęciach...

– Na wszystkim, czego pan dotyka czy używa, zostaje ślad – wyjaśnił zwięźle Czachowski. – Pot, ślina, tłuszcz, wreszcie krew. Dawniej niewiele można było z tego wynioskować. Co najwyżej dało się ustalić grupę krwi czy DNA. Dzisiaj... dzisiaj można dużo więcej. Praktycznie co tylko pan sobie zażyczy – dodał nie wiedząc czemu głuchym głosem. – Komputery potrafią przeanalizować procesy zachodzące w organizmie, a wszystko to na bazie śladów biologicznych. Mogą określić nie tylko stan pańskiego zdrowia, ale i nastrój, a nawet z prawie stuprocentową dokładnością prognozować, co pan robi. Baza danych przechowywana w Centrum obejmuje miliony

osób: i tych żyjących w przeszłości, i obecnie. Jeśli porówna się pańskie dane z informacjami uzyskanymi od osób, z którymi ma się pan spotkać, nieważne, w jakiej sprawie, można przewidzieć wynik tego spotkania. Z niemal absolutną pewnością. Oczywiście to wszystko podszyte jest analizą matematyczną, obliczeniami z zakresu rachunku prawdopodobieństwa i wielu innych dziedzin. Jeśli pan zechce, wyjaśnią to panu fachowcy, choć ważne jest jedno: to naprawdę działa.

– I cóż z tego?

– Centrum bada warianty przyszłości niczym wróżka. Bazuje na przeogromnych zbiorach śladów biologicznych zebranych z przedmiotów, których używali jokerzy, na wszelkiego typu dokumentach, wspomnieniach, raportach wywiadu. Odpowiada na pytania w rodzaju „co by było gdyby”. I sugeruje odpowiednie działania. Gdzieś tam, w Centrum, w otchłaniach cyberprzestrzeni hoduje się wizje Rosji bez Romanowów i Polski, która przegrała, bo i przegrać musiała, powstanie styczniowe. Tak je nazwano – dodał sztabskapitan z gorzkim uśmiechem. – Styczniowe... I niech mi pan wierzy, to wizje przerażające. Światowe wojny, masakry cywilów, miliony ofiar... I mała, jakże mała! Polska. Mała terytorium, mała głupotą swoich przywódców, mała gospodarczo. Dlatego wstąpiłem do gwardii, dlatego popieram cara. Bo odgałęzienia przyszłości, w których Romanowowie tracą władzę, są dużo gorsze dla ludności imperium, także dla nas, Polaków.

– Naprawdę uwierzył pan w te wszystkie prognozy?! Dał się pan omamić...

– Poruczniku, czy naprawdę uważa pan, że przerasta mnie o głowę intelektem? Że przyjąłem to na wiarę? Nie

sprawdziłem?! – warknął Czachowski. – Jedynie dlatego, że różnię się z panem w poglądach?!

Ponownie zapadło milczenie, tylko z głębi stepu słychać było grające w burzanach świerszcze.

– Świerszcze – odezwał się ze zdziwieniem w głosie Różycki.

Mężczyzna potrząsnął głową, jakby chciał powrócić do przytomności. Coś było nie tak. Mocno nie tak.

– L-pole! – wrzasnął Czachowski. – Wyłączyli L-pole!

Porucznik przechylił się przez zwieńczenie muru – rzeczywiście, błękitny wał otaczający stanicę zniknął.

– Co się... – zaczął.

Nie dokończył zdania. Pistolet Czachowskiego pluł już ogniem w stłoczone pod bramą cienie. Rozległ się ogłuszający ryk, kiedy zadziałał system alarmowy. Z koszar wysypali się na wpół ubrani, za to uzbrojeni żołnierze.

– *Atas! Orużje k boju!* – rozległ się krzyk jakiegoś oficera.

Jednak zanim ludzie Skopenki dotarli na stanowiska, włączyły się sterowane przez komputery działka Gausa i sprzężone lasery. Ziemia wokół bazy zakipiała, orana tysiącami pocisków wystrzeliwanych z ośmiokrotną prędkością dźwięku, gdzieś zadymiała, żarzona przez rozkwitające w mroku nocy liliwozłote słońca. Atak załamał się równie nagle, jak się rozpoczął. Stаницa zareagowała na zagrożenie błyskawicznie, brutalnie, z okrutną skutecznością. Jak to na pograniczu.

– Szkoda tylko, że tak niewiele z nich zostało – zauważył Czachowski, wskazując resztki ciał pod bramą. – Dobrze by było się dowiedzieć, jak wyłączyli L-pole.

Różycki nie odpowiedział, pewnie nadal dzwoniło mu w uszach.



Zwłoki leżały na podłodze tuż obok wąskiego wojskowego łóżka. Denat był sierżantem – dlatego nie spał w jednej z dwudziestoosobowych żołnierskich sal, dzielił izdebkę z innym podoficerem. Ten, obudziwszy się, zaalarmował Skopenkę.

Na ciele sierżanta nie było widać śladów przemocy: zero krwi, podskórnych wylewów, żadnych otarć naskórka.

– Co pan o tym myśli, kapitanie? – zapytał Skopenko.

Dowódca bazy wyglądał na zafrasowanego, cały czas bezwiednie przygryzał płowego wąsa.

– Wczoraj L-pole, dzisiaj to. Jak pomyślę, że mam dywersantów w stancy...

– Już nie. – Czachowski podniósł się z kłęczek. – Dywersant jest martwy.

– Nie rozumiem?

– Czym on się zajmował? – odpowiedział pytaniem Polak.

– Sierżant? Był technikiem, konserwował systemy... *Ni chuja siebie* – wymamrotał. – Konserwował systemy bezpieczeństwa!

– Wyłączył L-pole, później nie był już potrzebny – wyjaśnił Czachowski.

– Komu? – włączył się do rozmowy Różycki.

– Czort wie. Rebeliantom, Chińczykom, może jeszcze komuś? Teraz tego nie ustalimy. Pewnie aktywowali jakiś wszczep na odległość. Założę się, że analiza wykryje

szybko działającą truciznę, najpewniej neurotoksynę. To standard w takich przypadkach.

– Trzeba wysłać zwiad – mruknął Skopenko. – I to szybko. Poruczniku – zwrócił się do Różyckiego – weźmie pan szwadron rozpoznania i sprawdzi ruiny.

– Ruiny? – uniósł brwi Czachowski.

– To resztki dawnego karawanseraju – odparł Skopenko. – Ze względu na ukształtowanie terenu każdy, kto przekracza granicę, musi tamtędy przejść. Czasem zatrzymują się tam grupy dywersyjne, odpoczywają albo szukają ochrony przed dronami. Systemy maskujące nie mogą działać bez przerwy dłużej niż dobę. Trzeba je podładować.

– To chyba ułatwia wam sprawę?

– Istotnie, nie przeszkadza – przyznał pułkownik.

– Z ciekawości: rozumiem, że raczej nie poinformowaliście sztabu, że nie musicie prowadzić rozpoznania okrężnego?

– Rzeczywiście – mruknął Różycki. – Jakoś wypadło nam to z głowy...

– Proszę zrozumieć, kapitanie, na pograniczu sztabowe standardy niemal zawsze okazują się niedopasowane w stosunku do realnych potrzeb. Za mało etatów, za mało broni, za mało dronów – odezwał się zaniepokojony Skopenko.

– Ależ ja to rozumiem! – zapewnił Czachowski. – I nic mi do waszych rozliczeń z kwatermistrzostwem.

– A może wybrałby się pan ze mną, kapitanie? – zaproponował zniecierpliwiony Różycki. – Mógłby pan później opowiadać dziewczętom w Warszawie czy Petersburgu, jak własną pierś bronił pan zachodniej cywilizacji przed zalewem komunizmu...



Czachowski parsknął z udawanym lekceważeniem.

– Dlaczego nie? – odparł bez namysłu. – Panie pułkowniku?

Skopenko długo przypatrywał się uśmiechniętym oficerom.

– *A iditie wy w pizdu, Polaki!* – burknął wreszcie.



Różycki ustawił maszyny w krąg niczym kozacki tabor. Bioniczna siatka maskująca nie tylko zabezpieczała przed skanowaniem, ale i wytwarzała spory obszar cienia, bez żenady wykorzystywany przez załogi zwiadowczych raportów. Żołnierze grali w karty, podrzemywali i popijali lokalne piwo. Trzeba przyznać, że do tej ostatniej rozrywki podchodzili z umiarem. Kilku leniwie popatrywało na rozłożone paręset sążni dalej ruiny. Wyłącznie dla zabicia nudy. Rozstawione wokół anteny i czujniki natychmiast zarejestrowałyby najmniejszy nawet ruch, wychwyciły aktywność każdego urządzenia bardziej skomplikowanego niż elektryczna szczoteczka do zębów.

Pozostałości karawanseraju nie prezentowały się zbyt imponująco, ale resztki wykruszonych zębem czasu budowli rzeczywiście mogły zapewnić schronienie przed obserwacją z powietrza. Strefa nadgraniczna była nieustannie patrolowana przez wszelkiego typu aparaty latające, od najnowocześniejszych, zasilanych miniaturowymi ogniwami atomowymi dronów po rebelianckie latawce przenoszące prymitywny sprzęt holograficzny.

– Nie dokończyliśmy naszej rozmowy – powiedział Różycki, częstując gwardzistę piwem.

Kapitan wychylił jednym haustem pół pojemnika – mimo zapewnianego przez siatkę maskującą cienia było gorąco – i westchnął z rezygnacją.

– Pamiętam – mruknął.

Nie miał złudzeń co do zaproszenia na akcję. Wiedział, że albo przekona rodaka do swoich racji, albo poniesie konsekwencje porażki. Być może natychmiastowe. Oddział rozpoznawczy powróci, meldując straty poniesione w starciu z niezidentyfikowanymi dywersantami. „Zabity sztabkapitan Andrzej Czachowski, poległ bohaterską śmiercią, osłaniając odwrót *razwiedgrupy*. Rekomenduje się awans sztabkapitana do stopnia pełnego kapitana. Pośmiertnie. Podpisano: dowódca *razwiedgrupy* Różycki Piotr Aleksandrowicz”. Ot i wszystko...

– Co pan chce wiedzieć? – zapytał.

– Przede wszystkim, jak pan się przekonał o nieomyślności tych prognoz?

– Zadając pytania, panie kolego, zadając pytania... W momencie kiedy uzyskałem dostęp do Centrum, otrzymałem też prawo do testowania systemu.

– Jest pan jokerem?

– Nie, za to mój wujek jest dowódcą wojskowego kontrwywiadu imperium – odparł sucho Czachowski. – Uratował mi życie, dalsza działalność Niepodległej wywołałaby zdecydowaną kontrę ochrony. Nadojadłem im.

– W jakim sensie?

– To ja założyłem Niepodległą – wzruszył ramionami kapitan.

Gdyby uczucie, jakie pojawiło się na twarzy Różyckiego, nazwać zdziwieniem, byłoby to grube niedopowiedzenie – porucznik wyglądał jak rażony gromem.

– Te wszystkie zamachy...

– Tak, ja je zaplanowałem i w większości brałem udział – przyznał ze znużeniem sztabkapitan. – Sześciu żandar-mów w Warszawie, naczelnik ochrony w Petersburgu, me-tro w Moskwie, zakłady zbrojeniowe w Jekaterynburgu... Rozumie pan, poruczniku, niczego nie robię połowicznie.

– Wspominał pan o testowaniu systemu?

– Ach, to... Rzeczywiście. Grałem na giełdzie, speku-łowałem złotem i diamentami. System nie omylił się ani razu. Nie, na większą skalę to niemożliwe, taka działal-ność zmieniłaby losy świata – odpowiedział na niezadane pytanie. – W końcu sprawdziłem swoją żonę.

– Proszę?!

– Miałem jej chusteczkę, dała mi przed wyjazdem na front, taki romantyczny gest. Poprosiłem Centrum o ana-lizę osobowości właścicielki i prognozę na najbliższą przy-szłość. Chciałem jej zrobić niespodziankę, zadziwić. No i zadziwiłem... siebie. Zdradzała mnie z moim kuzynem.

– Co pan zrobił?

– Rozwiodłem się.

– Z tą całą sprawą. Wie pan, o czym myślę. Ja bym tego tak nie zostawił...

– Wysłałem jej kwiaty. Już po rozwodzie.

– Żartuje pan...

– W żadnym wypadku. Te kwiaty... Nie napisałem, że to ode mnie, były bez bilecika. Rozumie pan, zdrada to choroba bardziej zaraźliwa niż dżuma. I równie niebez-pieczna. Nic dziwnego, że budzi lęk i podejrzenia. Póź-niej, po tym wszystkim, zastanawiałem się, z kim jeszcze żona przyprawiała mi rogi, bo kuzynek nie był pierwszy. Kiedy dostała kwiaty, a dopilnowałem, aby dostarczono

je w jego obecności, mój krewniak zaczął zastanawiać się nad tym samym... Ich związek przetrwał dwa miesiące.

Różycki bez powodzenia starał się stłumić uśmiech, wreszcie zasłonił usta dłonią, symulując atak kaszlu.

– Jest pan niebezpiecznym człowiekiem. Utopiłby pan kota w śmietanie – podsumował. – Wracając do...

– Kontakt! – przerwał mu ostry głos jednego z żołnierzy. – Wysokość tysięcy siedemset sążni, szybkość około trzystu wiorst na godzinę.

W mgnieniu oka zwiadowcy rzucili się do maszyn. W niebo wycelowały lufy działek.

– Zatrzymajcie go! – polecił Różycki.

Porucznik przywarł do okularu przenośnego peryskopu.

– Wiązka poszła! – zameldował któryś z żołnierzy.

– Niech pan zerknie, kapitanie, to chyba nowy model.

– Rzeczywiście – przyznał Czachowski, patrząc na wiszący w powietrzu kształt.

Dron krążył w kółko niczym ptak na uwięzi, nie mogąc wyrwać się z elektronicznej klatki.

– Problem w tym, że jak walniemy w niego z działka, to nie będzie czego identyfikować. A przydałoby się.

– Mogę spróbować zestrzelić go z karabinu – zaoferoował się gwardzista.

– Jest pan aż taki dobry?

– Nie, ale mam pięciotaktowego herzoga.

Czachowski wyjął z pokrowca oleście lśniącą bryłę o kształtach tylko z grubsza przypominających broń z niezgrabną niby-kolbą i zaczątkami lufy. Herzog, stan zerowy. Transformował karabin od razu do fazy czwartej – mnemoniczny metal zareagował na sygnał właści-

ciela wydłużeniem lufy i dopasowaniem kształtu kolby do barku oficera. Po chwili trudno było stwierdzić, gdzie kończy się człowiek, a gdzie zaczyna karabin. Herzog zdawał się wyrastać z dolka strzeleckiego kapitana.

– Proszę spróbować – zgodził się Różycki.

Stojąc za plecami Czachowskiego, patrzył na rozkwitły nagle u nasady lufy herzoga holograficzny celownik. Spróbował zintegrować się z systemem celowniczym karabinu. Bezskutecznie. Albo broń miała zabezpieczenia, albo wymagała lepszych implantów niż te, jakie oferowano zwykłym żołnierzom. A może jedno i drugie.

Różycki skrzywił się, kiedy huknął wystrzał. Pociśki z broni kinetycznej zawsze przebijały barierę dźwięku, mimo że wewnętrzne słuchawki wszczepione w ucho porucznika musiały nieco wyciszyć dźwięk. Zestrzelony dron spadał po spirali jak ranny ptak.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – mruknął Różycki, trącając czubkiem buta elektronicznego szpiega.

– Połączę się ze swoją bazą danych. Może na coś natrafię – powiedział Czachowski.

Porucznik skinął głową i wyciągnął spod najbliższego pojazdu kolejny ośmiopak schłodzonego piwa. Najwyraźniej zabezpieczający przed reagującymi na ciepło minami system ochronny raptora pracował pełną parą.

– No dalej, niech mnie pan przekona, że te powstania były bezsensowne, nie miały szans powodzenia – rzucił cierpko.

– Co pan chce wiedzieć?

– Bo ja wiem? Na przykład z analizy bitwy grochowskiej wynika, że taki Chłopicki stanął na wysokości zadania. Gdyby nadal był wodzem naczelnym...

– Chłopicki chciał jak najszybciej zakończyć powstanie. Tyle że nie bezwarunkową kapitulacją. A w walce sprawdził się, i owszem. My, Polacy, generalnie sprawdzamy się w walce. Schody zaczynają się, kiedy trzeba pomyśleć. Niestety, najlepiej wychodzi nam napierdalanie... Gdy zaproponowano mu objęcie dowództwa nad powstaniem, Chłopicki odpowiedział: „Dajcie mi spokój, idę spać”. Niczego sobie entuzjazm, nie uważa pan? A siedemnastego grudnia poinformował wprost posłów i senatorów, że ma zamiar jedynie utrzymać w całości Królestwo, bo „przekonany jest, że niczego innego nie można zdziałać”, a „małe wojsko polskie będzie tylko na jatki wystawione”. Zadeklarował też, że pozostanie wierny Mikołajowi, jako „królowi konstytucyjnemu”... O Skrzyneckim już wspominałem, nawiasem mówiąc, na wieść o wybuchu walk w stolicy tenże udał się do Pułtusza, skąd wysłał wiernopoddańczą deklarację na ręce wielkiego księcia Konstantego. Przeciw powstaniu był także późniejszy bohater Woli pułkownik Józef Sowiński. A może przejdziemy do powstania styczniowego? Zajmiemy się szansami na zwycięstwo w walce, gdzie na przeciwko stutysięcznej armii carskiej stanęło sześć tysięcy powstańców, z których tylko co dziesiąty posiadał broń palną? To dopiero miało perspektywę...

– Jestem pewien, że nie skończyłyby się na tym – wtrącił gniewnie Różycki.

– Istotnie, jednak według Centrum liczebność polskich oddziałów nigdy nie przekroczyłyby trzydziestu tysięcy jednocześnie. A rosyjskich żołnierzy byłoby w końcu ponad czterysta tysięcy... Co te proporcje mówią panu jako zawodowemu oficerowi? Jak by je pan skomentował?

– Dlaczego podręczniki milczą o tych faktach? Nie zwracają uwagi na mankamenty powstania listopadowego?

– A komu to potrzebne? Imperator nie chce drażnić Polaków. Jesteśmy elitą cesarstwa, nie zauważył pan?

– Nie rozumiem...

– A co tu rozumieć? Stanowimy ledwie osiem procent ludności imperium, tymczasem w Dumie mamy czterdzieści procent miejsc, niemal połowa dowódców korpusów to Polacy, dominujemy gospodarczo. Już w dziewiętnastym wieku było to widać. W niektórych obszarach polski przemysł zaspokajał potrzeby cesarstwa, jeszcze na eksport wystarczało... Ot, choćby fabryki włókiennicze. A ludność? O ile już wówczas przewyższaliśmy poziomem wykształcenia Rosjan? Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy nasze wpływy przeważą rosyjskie... Wie pan, co prognozuje Centrum? Otóż w ciągu góra stu lat do rodziny carskiej wejdą Polacy. Już teraz jacyś tam kuzyni cara spokrewnieni są z Radziwiłłami i Potockimi. Chyba że ktoś taki jak pan powstrzyma ten proces...

– Niech pan mnie nie bierze pod włos! Nasza godność narodowa, nasz język...

– Naszej godności narodowej nikt nie narusza, a co do języka, to cóż, rzeczywiście zanika, ale w sposób naturalny, nikt panu nie broni mówić po polsku, to samo stałoby się i w tej innej, „styczniowej” rzeczywistości. Tyle że używałby pan teraz angielskiego.

– Po angielsku? Miałbym zawodzić „Jingle Bells”? – wzdrygnął się Różycki.

Czachowski bez słowa rozłożył ręce.

– Takie są prognozy – zapewnił.

– No dobrze – westchnął porucznik. – Co takiego zrobił Wielopolski, że powstrzymał powstanie?

– Jeszcze pan się nie domyślił? Kazał wymordować przywódców. W tym i tych potencjalnych, bo niektórzy początkowo wcale nie mieli zamiaru popierać powstania. Tyle że mogli zmienić zdanie. W sumie nie tak wielu. Wszystkiego kilkudziesięciu chłopów...

– Toż to... To horrendum! Zbrodnia!

– W rzeczy samej horrendum i zbrodnia – przytaknęła spokojnie Czachowski. – Tyle że czyn ten zapewnił Polsce dobrobyt i pokój na niemal trzysta lat. I uratował życie milionom. Słyszysz pan?! Milionom Polaków, którzy w „styczniowym” świecie padliby, walcząc w rozmaitych wojnach, albo wreszcie zostali wymordowani jak bydło. Stąd i status bohatera imperium, stąd utajnienie uzasadnienia...

– To zło, prawdziwe...

– Tak, to zło! – przerwał mu tym razem naprawdę wściekły gwardzista. – Tylko niech pan nie daje się ponieść własnej elokwencji i porywom sumienia. Bo za chwilę sytuacja może wymagać, aby rozkazał pan załódze jednego z wozów osłaniać odwrót oddziału. Osłaniać do końca, do krwawej śmierci w rozprutej pociskami maszynie albo zgonu we własnym gównie i rzygowinach w którejś z rebelianckich katowni. I za co? I po co? Żeby kilkunastu innych żołdaków dotarło cało do bazy? To też zło, tylko że z niego, w odróżnieniu od tego, co zrobił Wielopolski, żadnej korzyści dla Polski, Polaków czy samego imperium nie będzie. Ot, Sasza pożyje sobie jeszcze trochę, a Wańka będzie gryzł piach!



Czachowski gwałtownym ruchem otworzył kolejne piwo i paroma haustami wychylił zawartość sześciennego pojemnika.

– No?! – warknął, patrząc na zastygłą w wyrazie osłupienia twarz Różyckiego. – Co jeszcze?!

– Nie wierzę w to... To niemożliwe. Niewykonalne. Zabić kilkadziesiąt osób tak, aby nikt się nie zorientował? To jakaś bzdura!

– Bynajmniej – wzruszył ramionami spokojny już sztabskapitan. – Przede wszystkim większość z nich była ogółowi zupełnie nieznaną. Mówimy przecież o sytuacji przed powstaniem. Ot, taki Stefan Bobrowski, syn średniozamożnego szlachetki, konspirator, którego kojarzyli jedynie inni spiskowcy i żandarmi, podpułkownik rosyjskiej armii Traugutt... Oczywiście, były podejrzenia, wątpliwości, szukali ich przyjaciele, jednak wszystko to zostało zniwelowane przez wrodzone nam polskie kurewstwo.

– To znaczy? – zmarszczył brwi Różycki.

– Wyobraźmy sobie na przykład, że sytuacja jest czarno-biała: pan jest patriotą, ja zaprzędanym carowi zdrajcą własnego narodu.

– Ależ...

– Proszę mi nie przerywać, poruczniku! Podrzynam panu gardło tu i teraz, na oczach pańskich żołnierzy, po czym znikam szczęśliwie, zanim któryś z nich zdąży mnie zastrzelić.

Wygłaszając tę kwestię, Czachowski starał się trzymać ręce na widoku, z daleka od broni. I ignorować paskudny uśmiezek, który pojawił się nagle na ustach porucznika. Nie miał zamiaru stać się ofiarą własnego krasomównstwa – tu, na pograniczu, nie było waż-

ne, kogo reprezentował. Podział świata był prosty: swoi i obcy. A on był obcy. Wystarczyłby jeden gest Różyckiego, a żołnierze – ci sami, którzy z szacunku dla munduru gwardii salutowali mu na każdym kroku – zabiliby go bez mrugnięcia okiem. Za cichym przyzwoleniem sympatycznego skądinąd pułkownika Skopenki.

– Co by się działo w takim przypadku? – kontynuował. – W Infrancie zamieszczono by vidy na ten temat, w programach informacyjnych wiadomości o pańskiej tragicznej śmierci zaroilyby się od podejrzeń i plotek. Ktoś pewnie by napisał, że zlikwidowano pana, bo walczył pan o wolność Polski. Kto inny by go poparł. Tylko wie pan co? Te głosy zniknęłyby w natłoku innych niczym złota moneta w szambie. Bo natychmiast pojawiłyby się wpisy odsądzające pana od czci i wiary. I nie chodzi tu o działalność ochrony czy tajnych służb, zrobiliby to nasi rodacy. Ci, którzy poczuliby się urażeni faktem, że coś pan osiągnął, że rzucił na szalę własne życie, broniąc granic imperium i w końcu własnego narodu. Wszyscy ci frustraci i nieudacznicy, tchórze i oportuniści. Niech mi pan wierzy, nie szczędziliby czasu, a w razie potrzeby i pieniędzy, aby pana opluć, zohydzić pamięć. Bo śmiał pan zrobić coś, o czym oni baliby się nawet pomyśleć. Więc komentowaliby to odpowiednio. A po tygodniu, góra dwóch okazałoby się, że wcale nie był pan żołnierzem i patriotą, ofiarą rosyjskich specsłużb, a jedynie... Bo ja wiem? Może drobnym alfonsem, który zginął przypadkowo, wyszedłszy ze stancy popierdolić się z wielbłądem... Myśli pan, że wtedy, przed powstaniem, było inaczej? Ktoś zniknął? Widać uciekł z kochanką. Albo zabili go w pijackiej burdzie... I tyle.

– Wydaje mi się, że nieco pan przesadza – wyjąkał Różycki.

– Ani trochę – zapewnił gwardzista. – Niech pan zajrzy do polskojęzycznego Infranetu, zerknie na wpisy i hologramy pod artykułami na temat aktorek, artystów czy sportowców. Niech pan sprawdzi, ile osób wysmarkało tam swoje frustracje. Każdy Arnold Beznadziejny, każda Mariola Bylejaka... To jeszcze jeden powód, dla którego nam, Polakom, potrzebna jest dynastia Romanowów. Możemy zaakceptować, że będzie nami rządził ktoś obcy. Może nie z pieśnią na ustach, ale jednak. Natomiast w żadnym wypadku, przenigdy nie zaakceptujemy swojego... Wielopolski mawiał, że można czasem zrobić coś dobrego dla Polaków, ale z Polakami nigdy.

– *Chwatit bołtat', gospoda oficery!* – odezwał się zniebawiony krępy, nabity w sobie sierżant. – *U nas problemy!*

Autorytatywny ton mężczyzny sugerował, że niespecjalnie przejmuje się swoją niższą rangą. Zapewne był on jednym ze spotykanych na peryferiach imperium starych, zahartowanych w bojach wiarusów. Z ich zdaniem liczył się każdy, kto nie był samobójcą. Niezależnie od stopnia.

Żołnierz przywołał ich do wystawionej z wozu konsoli dowodzenia, wymownym gestem wskazał na ekran.

– Wykrakałeś, kurwa! – burknął Różycki.

Przedstawione za pomocą zielonych kropek pojazdy zwiadu z trzech stron otoczone były przez czerwone punkty.

– Musieli chuję zagłuszyć naszą elektronikę! *Po maszinam, riebiata! Po maszinam!* – ryknął.

W minutę później gnali już do stаницы. Systemy obronne raptorów pracowały pełną mocą. Mam nadzieję,

że to chłodzenie piwa nie wyczerpało za bardzo baterii, pomyślał Czachowski, tuląc do siebie herzoga. Naprawdę mam nadzieję...



Smukła, czarnowłosa piękność długo obejmowała Skopenkę na samym środku placu apelowego. Na oczach wszystkich żołnierzy, bez skrępowania, żarliwie. Martwi nie czują wstydu, a oni byli już martwi. Stanica została odcięta od świata, urwała się łączność. Ile czasu potrwa, zanim ktoś w dowództwie okręgu zorientuje się, że to nie są zwykłe zakłócenia? Kiedy nadciągnie pomoc? Dla załogi nadgranicznej bazy będzie z pewnością za późno, lada chwila miał nastąpić atak.

Pułkownik wyjął z kabury pistolet i ucałowałszy oksydowany na czarno metal, podał żonie kolbę do przodu. Wszyscy wiedzieli, w jakim celu. Poglądził przelotnie twarz stojącej tuż obok Marii Aleksandronny i śledził je wzrokiem, dopóki obie kobiety nie zatrzasnęły za sobą pancernych drzwi lazaretu.

– Jak sytuacja? – zapytał, stając za plecami Czachowskiego.

– Chujowa – odparł oficer, nie odwracając się. – Jeden z naszych dronów zrobił zdjęcie, proszę popatrzeć, pułkownik.

Skopenko zerknął przelotnie na holografie.

– Facet jak facet – powiedział niepewnie. – Rebeliant. Na kombinezonie ma znaki...

– Ręka – poddał kapitan. – Niech pan spojrzy na jego rękę.

Wokół muskularnego przedramienia żołnierza owijała się stylizowana na węży bransoleta.

– To „żmija” – wyjaśnił posępnie Czachowski. – Wytwarza w części przylegającej do ciała niższe ciśnienie, przez co krew z głębi mięśni przepływa tuż pod skórą, gdzie jest intensywnie chłodzona. Dzięki temu organizm się nie przegrzewa nawet w przypadku ekstremalnego wysiłku fizycznego. W sytuacji kiedy jest zimno, bransoleta może ogrzewać, jest też w stanie zamienić część energii kinetycznej oddziałującej na ludzkie ciało w promieniowanie cieplne i odprowadzić z organizmu.

– To znaczy?

– To znaczy, że jeśli ktoś ma „żmiję”, może walczyć, kiedy wszyscy inni padną ze zmęczenia, może też przeżyć upadek z dużej wysokości czy trafienie pociskiem z broni elektromagnetycznej niewielkiego kalibru. Kombinezon bojowy osłabia uderzenie, a „żmija” robi resztę. I jeszcze jedno, ten człowiek to żaden rebeliant.

– A kto?

– Coś takiego produkuje się tylko dla elitarnych oddziałów, te zabawki kosztują krocie. To Chińczycy.

– Ależ mamy traktat...

– Nikt z nas nie przeżyje, nie będzie żadnych dowodów.

– Po cholere im atak na naszą stanicę?!

– Chcą dostać Różyckiego – wymamrotał kapitan. – On jest... – urwał, nie wiedząc, jak dokończyć.

Skopenko pokiwał głową i odszedł bez słowa. Nie musiał nic mówić. Słowa „pierdoleni Polacy” i tak zawisły w powietrzu.

– Idą! – rozległ się okrzyk w słuchawkach.

Czachowski błyskawicznie transformował broń do czwartej fazy, po chwili trzymał już w ręku karabin wyborowy. Zaciśnął zęby, poczuwszy lodowate ukąszenie. „Żmija” – jego „żmija” – zaczęła pompować do krwiobiegu mieszankę środków psychotropowych, analgetyków i substancji pobudzających. Początkowo nie zauważył niczego niezwykłego, tyle że rozstawieni na murach żołnierze nagle zniknęli – najwyraźniej uaktywnili kombinezony. Rozległo się wycie syren, a działka zaczęły pruć ziemię seriami wystrzeliwanych na pozór bezcelowo pocisków. Stopniowo na horyzoncie pojawiły się bruzdy, tak jakby pod mury stacyjny nadciągało stado kretów. Smagające teren, wypływane przez wielolufowe działka strugi pocisków pomknęły im naprzeciw. Kilka bruzd znieruchomiało, lecz pozostałe niewzruszenie parły naprzód. Jakies sto metrów przed murem spod ziemi wynurzyło się obłe, podobne do gigantycznej dżdżownicy cielsko, błysnęły metalicznie złączenia segmentów, wysunęły się zespoły bojowe. W stacato stanicznych broni wdarł się głęboki bas granatnika dużego kalibru, na murach zaczęły eksplodować ogniste kule, niszcząc osłonięte przezroczystymi półkopułami stanowiska strzeleckie, a pancerne wieżyczki bazy zostały oświetlone różnokolorowymi promieniami laserów.

– Kurwa, to terratanki! L-pole ich nie zatrzyma! – wrzasnął przebiegający obok Różycki. – Wycofać się na drugą linię! Wycofujemy się!

Tymczasem plującego śmiercią terratanku dosięgły wystrzelone nie wiadomo skąd rakiety. Natychmiast zastąpiły go dwa inne, wynurzając się z płynną, zwierzęcą gracją, przez moment na burtach pojazdów błysnęły chińskie znaki. Wszczep w prawym oku Czachowskiego

ukazał mu nacierającą, podobną do duchów piechotę. Kombinezony bojowe Chińczyków maskowały ich niemal idealnie.

– Skurwysyny! – zawył kapitan, strzelając. – Skurwysyny!

Mur zakołysał się, jakby gigantyczna pięść uderzyła go od spodu. L-pole stanowiło nieprzekraczalną barierę – zabijało wszystkie żywe organizmy, od wirusów poprzez grzyby i pleśnie do ludzi włącznie, początkowo stosowano je jako filtr biologiczny przy badaniach nad szczepionkami wysokiego ryzyka – tyle że działało jedynie do poziomu gruntu. Jeśli terratanki prześlizną się poniżej, stacja padnie.

– Wycofujemy się! – krzyknął mu do ucha Różycki, łapiąc bez ceregieli za kołnierz. – Jazda! Do okopów!

W tym samym momencie mur eksplodował, w niebo trysnęła fontanna cegieł przemieszana z ludzkimi szczątkami, coś lepkiego zbryzgało wizjer hełmu Czachowskiego. Wleczony przez porucznika, oszołomiony wybuchem, słyszał za plecami czyjś wysilony, urywany skowyt.

– Czacha! Czacha! Co się u was dzieje?!

Oślepił go nagły rozbłysk, dopiero po chwili implant zoptymalizował rzucany na siatkówkę oka obraz. Widok masywnej postaci nie zaskoczył kapitana. Istniała tylko jedna osoba, która mogła sobie pozwolić na swobodne stosowanie tego przezwiska – pozostali zginęli w Sewastopolu. Wielki książe Aleks. Kaban.

– Obejrzelśmy holo tego drona, które nam przesłałeś, to najnowsza chińska produkcja. W zasadzie prototyp, dlatego nie ma go jeszcze w bazie danych. Rozumiem, że chcą dorwać jokera, tego Polaka?





– Tak mi się wydaje – wymamrotał niezbornie Czachowski. – Próbowali najpierw dywersji, a kiedy im nie wyszło, poszli na całość.

– Słuchaj uważnie! Kiedy zerwała się łączność z Taganką, wizytowałem właśnie garnizon w Orenburgu, za parę minut będziemy u was, ale sami nie damy rady, mimo że zebrałem, kogo się dało. Będziecie musieli nam pomóc.

– Ależ, Wasza... Nie może pan...

– Tylko mi, kurwa, nie mów, co mogę! – przerwał mu szorstko brat imperatora. – Rób, co ci każę, i tyle. Bez odbioru!

– Z kim gadałeś? – zainteresował się Różycki.

– Zawołaj Skopenkę. Natychmiast! – polecił mu Czachowski.

Sam opadł na kolana i zwymiotował, o mało nie opryskując stojącego w pobliżu żołnierza. Tamten odskoczył z przekleństwem na ustach. Mimo dawkowanych hojnie przez „źmiję” środków przeciwbólowych gwardzista czuł tępe pulsowanie żeber. Kilkakrotnie splunął na dłoń. Plwocina była zabarwiona czerwienią.

– O co chodzi?

Głos pułkownika Skopenki nie brzmiał zbyt przyjaźnie. Kombinezon dowódcy stancy był usztywniony w okolicy brzucha, najwyraźniej system medyczny starał się powstrzymać krwawienie.

– Niedługo nadejdzie pomoc, ale będziemy musieli...

Łoskot walącego się muru był ogłuszający, zniknęła błękitna poświata L-pola. Wyłoniwszy się spod ziemi, teratank wysunął segmenty bojowe, lecz o dziwo, granatniki i działa maszyny milczały. Po chwili maszyna wycofała się, otwierając pole dla nacierającej piechoty.

– Też mi pomoc! – warknął Skopenko. – Ognia!

– To wszystko przeze mnie? – Czachowski usłyszał spokojny, przefiltrowany przez słuchawki głos Różyckiego. – Chcą mnie dostać żywcem?

Kapitan nie odpowiedział. Lufa nastawionego na pełną moc karabinu parzyła mu palce pomimo rękawic. Chińska piechota cofnęła się, pozostawiając na rozrytej przez terratanki ziemi kilkudziesięciu zabitych.

– Teraz nam dopiero przypierdolą – skomentował Skopenko, osunąwszy się na dno okopu. – Parę trafień z granatnika i...

Jakby w odpowiedzi na jego słowa na powierzchni wychynęły dwie gigantyczne dżdżownice, jednak huk, jaki ich dobiegł, nie był odgłosem strzału. Coś przebiło barierę dźwięku.

– Chryste, to stratosy – wymamrotał Różycki.

Wizg nadlatujących pocisków wiercił w uszach, Czachowski skulił się, w bezsensownym odruchu osłaniając głowę. Jazgot rozdieranego metalu szarpał nerwy, kruszył wolę.

– To nasi! – wrzasnął Różycki.

Gwardzista podniósł głowę: oba terratanki wyglądały, jakby porozrywały je pazury jakiejś drapieżnej bestii. Niebo zapełniły opadające niczym jesienne liście kapsuły desantowe.

– To nasi! – powtórzył porucznik.

Czachowski podniósł się niepewnie, spróbował złapać równowagę.

– Czacha, teraz! – rozległ się głos głównodowodzącego.

Kapitan zerknął na Skopenkę – pułkownik leżał na boku, wpatrując się w dal nieruchomym, szklanym wzrokiem. Odchrząknął.

– Sztabskapitan Czachowski do wszystkich – odezwał się. – Przejmuję dowodzenie!

Odetchnął głęboko w oczekiwaniu, aż zameldują mu się dowódcy kompanii.

– Na pomoc przyszedł nam brat imperatora, wielki książę Aleks – kontynuował po chwili. – Zwyciężymy! *Primknut' sztyki!*

– *Primknut' sztyki!* – powtórzyli komendę oficerowie.

Czachowski przetaktował herzoga do fazy piątej, poczuł w garści półtora arszyna mnemonicznej stali. Klinga natychmiast przybrała kolor dymu, później stała się niewidoczna. Nadszedł czas na grę ostrzy i iluzji... Uniósł szablę.

– *Za wielkiego kniazia! Kabaaan!* – krzyknął, gramoląc się z okopu.

– *Kabaaan!* – odpowiedział mu bojowy ryk atakujących żołnierzy.

– Będziesz musiał się grubo tłumaczyć z tego, ekhmm... dzika – zauważył Różycki.

– Jeśli przeżyję! – odwarknął gwardzista, tnąc czyjś nadgarstek. – I co? Zdecydował się pan, poruczniku?

– Zdecydowałem – przytaknął tamten. – Za wielkiego księcia! – zawołał z krzywym uśmiechem.

Ruszyli naprzód, asekurując się wzajemnie. Oficer Sobstwiennogo Jego Impieratorskiego Wieliczestwa Konwoja i joker – od teraz w służbie imperium.

· A · D · A · M ·  
PRZECHRZTA

# GAMBIT WIELOPOLSKIEGO

**D**wudziesty drugi wiek. Cesarstwo rosyjskie znajduje się u szczytu potęgi. I nic dziwnego: w tej rzeczywistości nie było powstania styczniowego ani wojen światowych. Za to od czasu do czasu pojawiają się jokerzy – charyzmatyczne jednostki zdolne zmienić bieg historii.



**S**ztabskapitan Czachowski, były buntownik i terrorysta, otrzymuje zadanie przecignięcia na stronę caratu jednego z nich. Sam od pewnego czasu uważany jest za pretorianina imperium, choć niektórzy mają wątpliwości, czy rzeczywiście i do końca wyrzekł się dawnych poglądów.



**J**ednak sprawa nie jest prosta: jego cel znajduje się w nadgranicznej stancji, a wrogowie Rosji mają swoje plany...



/fabryka



/fabrykaslow


Patroni medialni

**BESTIARIUSZ** { opetani  
czytaniem }

 **LUBIE  
CZYTAĆ**

**STREFA  
MUSIC** Art

*Fantastyka*   
*Mitologia*  
*Magia*

 **paradoks.net.pl**

**Kulturatka.pl**

fabrykaslow.com.pl

ISBN 978-83-7964-421-6



9 788379 644216

Wyłączny  
dystrybutor



**39,90 zł\***

\* cena zawiera 5% VAT